

Ludzie nowocześni pod krzyżem

16 sierpnia 2010



Pod Pałacem

Prezydenckim zrobiło się ciemno. I to bynajmniej nie dlatego, że zapanował tam fanatyczny i klerykalny „Ciemnogród.”

Mrok nadchodzi bowiem z drugiej strony powstałego tam frontu. Widocznie sporny krzyż posiada cudowną właściwość obracania wartości deklarowanych przez zwalczający go uliczny show w ich ponure przeciwieństwo. Tolerancja w wydaniu krzyżowców à rebours jest pogardą dla odmiennych grup, postaw i osób. Wolność według nich jest terrorem. Ich spontaniczność sprowadza się do dyspozycyjności, a humor – do tępego krzyku.

Zabawne, że krzyż postawiony 15 kwietnia przez kilka miesięcy nikomu nie przeszkadzał. Ponieważ regularnie zbierało się pod nim stosunkowo niewiele osób – od kilku do kilkudziesięciu – trudno w nim też było dopatrzyć się znaku orientacyjnego dla jakiejś groźnej masy. Dlaczego więc Bronisław Komorowski, będący przecież uosobieniem zgody, która buduje, zapowiedział w głośnym wywiadzie jego przeniesienie? Możliwe, że ktoś z otoczenia prezydenta (wtedy jeszcze – elekta), lub grona rozmawiających z nim dziennikarzy – potrafił u niego strunę małostkowej ambicji. Najwyższy czas – być może mu zasugerowano – przerwać celebrowanie pamięci o jego poprzedniku, gdy

rozpoczyna on swoją, prawie na pewno wybitną kadencję prezydencką.

Do pomyślenia jest także scenariusz makiawelicznej rozgrywki. Kto wie, czy – biorąc pod uwagę, że PiS poczuje się zobowiązany bronić najśłynniejszej pamiątki żałoby smoleńskiej – nie zaplanowano wciągnięcia opozycji w niewygodny dla niej konflikt. Obrońcom krzyża groziły zdroworozsądkowe wątpliwości, którymi też faktycznie ich zasypano: ostatecznie żałoba była, ale dość dawno się skończyła, akurat w pobliżu pałacu nikt nie zginął, czy Lecha Kaczyńskiego należy wspominać kosztem pozostałych ofiar katastrofy itd.

Byłoby jednak najciekawsze, gdyby na deklaracje Komorowskiego pewien wpływ zdobyli rzecznicy tzw. paradygmatu modernizacji. Oni muszą prowadzić bój o dalsze postępy na drodze do nowoczesności, gdyż bez niego utraciliby swoją tożsamość. Stary ustrój i jego pozostałości, które tępił w pierwszej dekadzie III RP, przestały już być dla nich wrogiem godnym tego miana. Ugrupowanie wywodzące się z monopartii rządzącej w PRL wyrzekło się rozbudzania nostalgii za pełnym zatrudnieniem w państwowych fabrykach. Teraz to SLD najgłośniej woła, że fundamentalnych wyróżników nowoczesności – to jest kilometrów autostrad, legalnych aborcji oraz zapłodnień in vitro – musi być u nas tyle, iloma od dawna się cieszą obywatele szczęśliwych krajów Beneluxu. Postkomunistyczny „beton” – jak rzekłby wielki komtur publicystycznego zakonu kawalerów najświętszej modernizacji, Jacek Żakowski – został oszlifowany. Do walki na wyniszczenie pozostała więc tylko tradycyjna, konserwatywna, nacjonalistyczna – słowem, radiomaryjna – część społeczeństwa.

Za jej straż przednią uznano grupę osób spotykających się pod krzyżem. Przy pierwszej okazji przytłoczono ją oskarżeniami nie tylko o łamanie prawa, lecz nawet o (insynuowaną w komentarzach Waldemara Kuczyńskiego i Tadeusza Sobolewskiego z „Gazety Wyborczej”) „nienawiść do demokracji”. A przecież zakulisowe porozumienie kancelarii prezydenta z

przedstawicielami kurii warszawskiej, władzami kościoła św. Anny i szefostwem organizacji harcerskiej, któremu w końcu odmówiła ona akceptacji, nie posiadało mocy ustawy państwowej. Gdyby nawet ją uzyskało, to demokracja dopuszcza obywatelskie nieposłuszeństwo (o czym zresztą oficjalni komentatorzy mieli niedługo sobie przypomnieć). W starciu z siłami porządkowymi, demonizowani „obrońcy krzyża” bardziej byli obiektami niż sprawcami przemocy. Na pewno nie użyli gazu pieprzowego, ponieważ w ogóle go nie mieli. Przypuśćmy nawet, że nie chcą się oni pogodzić z prezydenturą Komorowskiego, sądząc uparcie na przekór werdyktowi większości, że Kaczyński był lepszym kandydatem. Takich konsekwentnych oponentów nie brakowało Bushowi, ma ich Nicolas Sarkozy, a niedługo znajdzie ich pewnie Barack Obama.

Mimo tych wszystkich okoliczności łagodzących, atak na uczestników demonstracji, debat czy modlitw przy krzyżu podjęły liczne, a zarazem wewnętrznie zróżnicowane zastępy. Antyklerykałowie starszej daty grają w nich mniej więcej taką rolę, jak – według ostatniej części „Trylogii” – Tatarzy w armii tureckiego padyszacha. Są wykorzystywanymi do mniej istotnych zadań, ale traktowanymi z góry harcownikami.

Ten gatunek fanów państwa świeckiego stanowi trzon wymierającej zbiorowości odbiorców popularnego dawno temu tygodnika „NIE”. Jemu również swój byt zawdzięczają „Fakty i Mity” – konkurującego z Jerzym Urbanem w skali bardziej niszowej – Romana Kotlińskiego-„Jonasza”. Głosuje on na SLD, bo chociaż jego historyczni liderzy za bardzo – jego zdaniem – podlizywali się klerowi i JPII, to partię tę reprezentują także osoby równie wybitne, jak profesor Senyszyn.

Paradoksalnie, umysłowi wychowankowie Urbana i Jonasza idealnie odpowiadają stereotypowemu wyobrażeniu o słuchaczach Radia Maryja. Wygląda z pobieżnych obserwacji, że utrzymują się z emerytur i rent (bo jak na rentierów ubierają się zbyt ubogo). Ich problemy z sobą odznaczają się charakterem nie tyle materialnym, co prestiżowym. PRL o tyle budzi u nich miłe

wspomnienia, że w tamtej państwowości czuli się pełnoprawnymi obywatelami. Obecnie natomiast zepchnięto ich na margines.

Ojciec Redaktor Jerzy od dwóch dziesiątków lat tłumaczy, dlaczego dzieje im się krzywda. Wszystko byłoby w najlepszym porządku, gdyby (niezbędne skądinąd) reformy ustrojowe przeprowadziła ekipa Towarzysza Generała. W razie czego, mogłaby ją zastąpić koalicja reformatorów PZPR-owskich – Olka, Leszka, Marka, od biedy Włodka i Józka – z rozsądnymi „solidaruchami”, to jest oczywiście Panami Tadeuszem, Bronisławem, Jackiem i Adamem. Niestety, do władzy ciągle dorywało się oszołomstwo, a demokrację, w której coś takiego się zdarza – to o kant czegoś tam potłuc. „Solidurnie”, zamiast sensownie robić (naturalnie konieczną) prywatyzację, mocno się nakradły. Rozliczeniowi „biali bolszewicy” zepsuli państwo. Byłych członków partii, szeregowych nie wyłączając, chciano zesłać w Bieszczady. Współpracowników służb specjalnych legalnego państwa polskiego, które cieszyło się uznaniem dyplomatycznym całego świata, zagoniono pod pręgierz. „Prawak” Kern nasłał policję na swoją córkę, jej sympatycznego narzeczonego oraz jego jeszcze miłszą rodzinę. Macierewicz rozpalił stos z teczek. O Kaczorach to aż strach wspominać. Na dwa lata zamienili ten kraj w pole kartoflano-buraczane, z którego śmiała się Europa. Później oberwali w kuper (za co musimy być wdzięczni „politykowi europejskiej miary”, Donaldowi Tuskowi), ale wciąż szkodzili i knuli. Kaczor zimny poleciał nie wiadomo po co do Katynia, powodując tym, że oprócz niego, IPN-owskiego inkwizytora Kurtyki i wielu podobnych im odjazdowych postaci zginęło kilkoro ludzi stosunkowo rozsądnych. A Kaczor jeszcze ciepły najchętniej brzęczałby szabelką nad granicą rosyjską, dopóki nie zmusiłby Putina i Miedwiediewa do starcia nas atomówką z powierzchnią ziemi.

Potworne Kaczory były wszakże kreaturami Rydzyka, który z kolei jest wykwittem katolandu. Dlatego wobec czarnych obowiązuje nas nieustająca wzmożona czujność. Wyblakłe

czerwone (a raczej bladoróżowe) mohery słuchają Papy Jerzego i Brata Jonasza, dodając to i owo od siebie. Na kler, PiS i świrów nasłanych pod pałac rzeczywiście trzeba uważać. Przecież Inkwizycja wymordowała dużo więcej ludzi niż Hitler. Jak się teraz nie postawimy, to oni ukrzyżują każdy plac, park i róg ulicy.

W elitarnych kręgach bojowników o świeckość pozwala się urbano- oraz jonaszoidom trzymać transparenty, siedzieć przy stoliku z petycją o przeniesienie krzyża i hałasować, lecz – jak już wiemy – skrycie się nimi pogardza. Na plan pierwszy wybija się tam młodość, do której ich zaliczyć się nie da. Juniorzy wszakże niejedno mają imię.

„Ciekawi” zaglądali w pałacowe okolice, bo słyszeli, że tam wyrabia się coś dziwnego. Chcą przyjrzeć się „fanatykom”, którzy złamali prawo, obrazili prezydenta, jego ministrów, księży i harcerzy, wreszcie zaś napadli straż miejską – wszystko w tym celu, żeby uniemożliwić przeniesienie krzyża w odpowiednie miejsce. Takim niebezpiecznym dziwakiem przydałaby się dyskusja, która może by im wybiła z głowy spiskowe teorie i skrajne poglądy. Co z tego: oni nie potrafią dyskutować. Mają zero argumentów!

Szkoda, że grupa „ciekawych” nie przygląda się własnej sztuce dyskutowania i argumentacji. – „Ja uważam – powiada „ciekawy” – że krzyża w przestrzeni publicznej być nie powinno”. – „A to – uzupełnia jego intelektualny bliźniak – że krzyż stoi pod pałacem, mi się nie podoba”.

W moich latach szkolnych wyrwanie się na lekcji z „ja uważam” lub „mi się podoba” groziło gorszymi konsekwencjami niż bójka z kolegą czy obelga wobec nauczyciela. – „Nikogo nie obchodzi – pouczał cierpliwy profesor – co się tobie akurat pomyślało lub poruszyło twoje emocje. Zapisz starannie w zeszycie, że swoje sądy należy samodzielnie, a zarazem rzeczowo uzasadniać”. Belfer ostrzejszy dodawał ostrzeżenie: jak się nie weźmiesz za siebie, będziesz się nadawał najwyżej do

szkoły cyrkowej.

Minęła epoka tradycyjnej pedagogiki, z którą podobno zawsze szły w parze dystynkcje i represje. Ale radosna emancypacja przez współpracę i zabawę, którą polskiemu systemowi edukacyjnemu zaszczerpiły jego kolejne reformy, zawiera pewną pułapkę. Jej produkt, groteskowy narcyz, czyni swoje ego – z właściwymi mu odruchami „uważania” i „podobania” – wyłączną miarą wszechświata. Nawet nie zauważa, iż takie odrzucenie rozwoju, autokrytyki i poszukiwań przerzuca go wręcz automatycznie na stronę obiegowych klisz.

„Ciekawy” oburza się, jeżeli ktoś mu zasugeruje, że powieła opinie z TVN. – „Mało oglądam telewizję – odburkuje – a gdybym nawet lubił TVN, to nic w tym złego. Jest ona telewizją prywatną, która ma prawo nadawać, co chce”. – „Trochę inaczej – wtrąca jego kompan – jest z TVP. Telewizja publiczna nadaje za moje pieniądze, które zabiera mi urząd podatkowy. Dlaczego więc zrobiono z niej TV-PiS? Ja uważam, że to przegięcie. To mi się nie podoba”.

Od tych refleksji pod dyktando blisko już do młodzieży „rządomyślniej”. Ironicznie wypożyczam to określenie od Michela Foucault, którego radykalne skrzydło polskich modernizatorów umieściło wśród swoich guru. Juniora „rządomyślnego” można by zamknąć w piwnicy albo batyskafie. I tam, po wielu miesiącach hermetycznej izolacji, odtworzyłby wiernie komentarze z najnowszej „Polityki”. Zna on tę swoją właściwość i napawa się dumą z jej powodu. Dlatego testuje swoje umiejętności w oryginalnej sytuacji pałacowego sporu. Mówi, podnosi głos, krzyczy – i zawsze trafia w dziesiątkę tarczy z aktualnie wymaganymi poglądami.

Według „rządomyślnych”, krzyża nie wolno wykorzystywać do prowadzenia polityki. Słyszeli oni pewnie na ambitniejszych zajęciach, że w społeczeństwie nowoczesnym właściwie wszystko jest polityczne. Może się nawet orientują, iż przebiegając historię ludzkości, z trudem wyszukałoby się zbiorowość ludzi

religijnych, którzy praktykowaliby swe wyznanie wiary jedynie w domach, omijając zamki, gościńce i place miejskie. „Rządomyślny” potrafi tłumić wiedzę, która w danej chwili nie przydaje mu się do podkreślania lojalności wobec władzy, a mogłaby to nawet utrudniać.

W ogóle, dba on raczej o właściwy użytek z wiedzy niż jej jakość. Powtarza w kółko, że na krzyż nie ma miejsca pod siedzibą głowy państwa. Wszak konstytucja stwierdza, że Polska jest państwem świeckim. Czy rzeczywiście? Działająca w zamierzonych czasach komisja konstytucyjna, której przewodniczył Aleksander Kwaśniewski, wahała się między formułami „oddzielenia” i wzajemnej „autonomii” władz państwowych i kościelnych. Wtedy jeszcze świeckie antykrucjaty nie były w modzie. Jednak „rządomyślnemu”, zajętemu mrówczymi staraniami o awans, braknie czasu na przeczytanie książeczki z tekstem konstytucji (nie mówiąc już o śledzeniu historii powstawania ustawy zasadniczej). Musi mu wystarczyć komentarz w dzienniku.

„Rządomyślni”, w porównaniu z „ciekawymi”, plasują się wyżej w hierarchii edukacyjnej i zawodowej. Kończą studia, są już doktorantami lub odbywają staż w redakcji, biurze czy firmie. Wprost proporcjonalnie do osiągnięć w karierze (czy tylko marzeń o nich) narasta agresja. „Ciekawy” zwraca czasami uwagę na informacje i oceny, wypowiedziane przez odpychających go z początku „fanatyków”. Natomiast w oczach „rządomyślnego” ci, którzy się modlą, śpiewają czy coś tam głoszą pod krzyżem, są zwierzętami gatunku dużo podlejszego niż jego własny. Sprowadzają się do słusznie lub nie insynuowanego im ubóstwa, albo wręcz brudu i smrodu.

„Rządomyślnych”, nie inaczej niż „ciekawych”, bardzo obchodzi, co dzieje się z ich pieniędzmi, które idą na podatki. Zdaniem tych pierwszych, policja – utrzymywana przecież z ich potu, krwi i łez – ma psi obowiązek oczyścić ulicę z insektów. Jeżeli z tym się ociąga, ktoś inny musi ją wyręczyć. Widać już chyba, dlaczego „rządomyślny” polubił swoje (pozorne?)

przeciwieństwo: podwórkowo-barowo-melinowego „knajaka”. Potrafi z nim w najlepszej komitywie drinkować i szydzić z moherów. Dołożyć im wspólnie z „knajakiem” też by się nie brzydził. Choć zapewne wolałby wysłać jego do mokrej roboty, a samemu przyglądać się z dystansu, jak tamten sobie radzi.

Czym woda dla ryby, tym dla „knajaka” – przestrzeń zalegalizowanej anarchii. Gdy oprócz niej wyznaczy mu się obiekt dozwolonej agresji, jego szczęście nie będzie miało granic. Siedząc z puszką piwa na parkowej ławce, prawdopodobnie doczekamy się patrolu z mandatem w prezencie. Za to w zonie specjalnej „pałac” – o ile tylko walczy się w obronie państwa prawa i konstytucji – wolno nie tylko opróżniać butelki, ale i je tłuc. A jeśli zaraz potem rozluźni się pęcherz lub żołądek? Też nie ma problemu. Istnieją nadto nieograniczone możliwości rozbierania się – bez sankcji za nieestetyczność obnażanych ciał, która byłaby więcej niż zasadna. I wreszcie lokal „Przekąski Zakąski”, należący do sieci luksusowych restauracji, w których przeciętnego pracownika najemnego ledwo stać na kawę, serwuje wyszynk bez marży. A zasłużonych na demonstracjach podobno nagradza wyszynkiem za darmo.

– „Wiecie co? – słyszało się tu i ówdzie „knajaków”, wymieniających się informacjami na przystankach i peronach w poniedziałek 9 sierpnia – wieczorem będą tłuc moherów”. Napadając i bijąc, „knajak” zazwyczaj liczy na bezkarność, lecz rzadko kiedy ma ją zagwarantowaną. I to nie przez byle kogo. Przedsięwzięcie, na którym „knajacy” obiecywali sobie zaszaleć, mniej lub bardziej jawnie promowali zwierzchnicy sił policyjnych do spółki z ekspertami i autorytetami. Gdzie my jesteśmy? Na Haiti? A może w czasach nocy kryształowej, podczas której także walczono o czystość państwa? Wprawdzie – zdaje się – nie od symboli religijnych, tylko od ras niearyjskich, ale katować można w imię każdej idei (a tym bardziej – w imię jej braku). Powyższy wybuch wisielczego humoru da się usprawiedliwić odreagowaniem strachu.

W strukturach przemocy instytucjonalnej zdarzają się psychopatologiczni sadyści, ale rzadko kiedy są tam przychylnie widziani. Dysponenci siły i terroru zwykli dawkować je planowo. Boją się zatem, że przy udziale sadystów z łatwością wymknęłyby się one spod ich kontroli. Tymczasem „knajak” w zestawieniu z funkcjonariuszem wnosi nową, skrajną jakość. Szałamow opisuje w „Opowiadaniach kołymskich”, jak „knajacy” (nazywani w żargonie łagrowym „błotnymi” bądź „urkami”) doprowadzili do samobójstwa, stosując wyrafinowaną intrygę przemykania fałszywych informacji zza krat obozu, żonę swojego kolegi z sąsiedniej pryczy. Co im to dało? Dosłownie nic. „Knajak” po prostu lubi takie rzeczy.

Ponad trzydzieści lat temu ówcześni rówieśnicy świeckich antykrzyżowców rozbijali wykłady opozycyjnego Uniwersytetu Łatającego. Zaczynało się to od propozycji dyskusyjnej. Pytano więc Kuronia, dlaczego współpracuje z odwetowcami zachodnoniemieckimi, Hupką i Czają. Jeżeli chodzi mu o podważenie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej – zaznaczali zaangażowani studenci – to oni uważają, że nie ma racji, i wcale im się to nie podoba. Potem znajdowali się chętni do wznoszenia okrzyku: „Izaak Kuroń!”. Wtedy dobrze zorientowany lider grupy przestrzegał, iż o coś takiego chodziło raczej w Marcu, a poza tym „pan Kuroń” jest pochodzeniowo czysty. Tolerował za to bicie, ale też nie wszystkich, tylko wskazanych.

Dla wyjaśnienia: „odwetowcy”, „granica na Odrze...” itd. – to wzorcowe przykłady obowiązującej wówczas frazeologii. Nieświęta trójca dyspozycyjnego dyskutanta, politykierskiego manipulatora i opryszka też okazuje się stosować do każdej sytuacji. W pałacowej okolicy, pod transparentem obwieszczającym, że do nadużywania symbolu krzyża nawołuje szatan, stoją elita „rządomyślnych”, polityk Platformy z jednej z warszawskich dzielnic i grupka „knajaków”. Różnica w tym, że aktywistów oficjalnych związków młodzieżowych ujawnienie ich nazwisk przez Wolną Europę chyba trochę

speszyło. Za to następcy, których po wielu zakrętach historycznych sobie znaleźli, szarżują właśnie w tym celu, żeby ich zauważono i odnotowano.

Są oni na tyle wykałkulowani, że nie ma w nich ani śladu potencjału buntu czy nieskrępowanej zabawy. Hasła o tolerancji i wolności słowa (których, po pierwsze, nikt im nie zabierał, a po drugie – ich nie potrzebowali) skandują mechanicznie – tak, jakby musieli, chociaż im się nie chce. A swoimi tańcami, podskokami, strip-teasem i seksem mogą przyprawić o śmierć z nudów. Konfliktów nie znoszą – chyba, że są odgórnie obwołane i sterowane. O ich wyniku rozstrzyga zasada płytkiego autorytaryzmu: prawo nie zezwala, a władza decyduje. Marks, którego nazwisko nic im nie powie, porównałby ich do „worka z kartoflami”, które manipulator przesypuje w dowolne układanki.

Pretensje pod ich adresem byłyby absurdalne. Ujawniają oblicze, które – czemu bezwólnie się poddawali – w nich uformowano. Kompromitują wszystkich wychowawców, mentorów od wartości i twórców opinii epoki transformacji. Z Kościołem hierarchicznym nie na ostatnim miejscu. Kościół bowiem zadowolił się krótkowzrocznie wyznaczoną dawką godzin religii w szkole i wzmianką o wartościach chrześcijańskich w ustawie medialnej. Mając te narzędzia, nie potrafił przekazać, o co właściwie chodziło człowiekowi, który mniej więcej dwa tysiące lat temu dał się przybić do – jak się to określa w slangu krążącym pod pałacem – „dwóch skrzyżowanych listewek”. Laickim krytykom Kościoła powiodło się jeszcze gorzej. Żaden ze skaczących klaunów nie miał w ręku dzieł dawniejszych bądź nowszych antychrystów: de Sade’a, Nietzschego, Sartre’a czy chociaż Dawkinsa. A „Kod Leonarda da Vinci” też przełączyli na inny kanał.

Na trakcie przy pałacu objawił się młody(?) człowiek(?), który niczego nie przemyślał, w nic nie uwierzył, w nikim się nie zakochał i niczemu nie sprzeciwił. A „Polityka” do spółki z „Metrem” przylepiła temu wszystkiemu etykietę radosnego karnawału, zwołanego na Facebooku. Coś też tam było na temat

obywatelskiego nieposłuszeństwa – teraz już słusznego, bo „rządomyślnego”.

„Idźmy w pokoju, ludzie prości” (w tym wypadku raczej nowocześni i oświeceni) – chce się szyderczo westchnąć za Miłoszem – „przed nami jest jądro ciemności”.

Autor: Jacek Zychowicz

Zdjęcie: [Salon Nowojorski](#)

Źródło: [Obywatel](#)